

WSPOMIENIA OBOZOWE

Zostałem aresztowany 6 marca 1944 roku we wsi Zawonie, pow. Sokal, województwo lwowskie, gdzie mieszkałem z całą swoją rodziną.

Od jesieni 1942 roku we wsi Zawonie przebywała grupa partyzantów radzieckich gen. Kołpaka, którzy wraz z miejscową ludnością prowadzili pracę propagandową, dywersyjną i działania partyzanckie.

6 marca 1944 roku wieś została otoczona przez 44 dywizję SS "Hałaczyna" i po zdziesiątkowaniu ludności oraz spaleniu wsi, resztę mieszkańców popędzono pod konwojem do ukraińskiej wsi Jastrzębica, leżącej na północ od Zawonia w odległości 4 km. W tej grupie byłem i ja. Miano nas tu rozstrzelać i pogrzebać w pobliskim lesie, gdzie wykopano już groby. Zamysł ten nie został wykonany, ponieważ do wsi przyjechało kilku wyższych oficerów gestapo w Sokala, którzy kazali odstawić nas /razem 52 osoby, w tym 2 kobiety/ - do szosy we wsi Korczyn, skąd samochodami odtransportowano nas do więzienia we Lwowie - "Łącki" /9 marca 1944 r./.

Po tygodniowym pobycie w więzieniu, 16 marca 1944 r. zostałem wywieziony ze Lwowa transportem liczącym około 200 osób do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Po wyładowaniu nas na stacji kolejowej ustawiono transport w oddział po pięciu ludzi, kierując go przez miasteczko do obozu. W czasie marszu zostaliśmy obrzuceni gradem kamieni, ciskanych na nas przez dzieci niemieckie. W grupie naszej dwie osoby zostały ranne kamieniami i broczyły krwią. Przez bramę obozową z napisem "ARBEIT MACHT FREI" wprowadzono nas do środka. Po spisaniu danych osobowych zapędzono nas do łaźni, po pasiaki, a następnie na blok nr 9, do "Iwana".

W łaźni niemal wszyscy więźniowie zostali pobici pałkami przez SS-manów i przez kapów obozowych. Wszyscy naganiacze obozowi bili nas jak chcieli i gdzie chcieli. Na skutek bicia dwóch ludzi z Zawonia na drugi dzień zmarło - byli to: Just Adam oraz Michał Kisielewicz /Kruc/.

Przez pierwsze dwa tygodnie całymi dniami nosiliśmy na ramiach kamienie z obozu i do obozu, popędzani biciem i kopaniem przez kapów, vorarbeiterów lub służbę obozową.

Po dwóch tygodniach zostałem przewieziony transportem do komanda Dyhernfurth II, gdzie przydzielono mnie do komanda Bau 117, do prac ziemnych, murarskich, jak też przy wyładunku wagonów z cementem. Bicie więźniów przez kapów lub vorarbeiterów było tu rzadsze niż w Gross-Rosen. Ja zostałem jedynie tylko raz pobity przez pijanego SS-mana, który jako dyżurny był obecny na terenie fabryki.

Podczas pobytu w Dyhernfurth II pamiętam trzy razy ćwiczenia przed blokiem /przysiady, żabki, taczanie się i czołganie po błocie/, w których nie brali udziału więźniowie pełniący

funkcje kapów, vorarbeiterów, blokowych i sztubowych. Ćwiczenia te urozmaicane były kopaniem więźniów przez blockführera - SS-mana oraz przez funkcyjnych więźniów, którzy urabiali sobie tym opinię u "swego chlebowodawcy".

Od 2 kwietnia 1944 roku do 23 stycznia 1945 roku z ważniejszych wydarzeń w obozie zapamiętałem dwie nieudane ucieczki. Pierwsza to próba ucieczki trzech Rosjan, których zastrzelono, odnajdując ich w lesie. Ciała ich przewieziono do obozu, wystawiono na widok publiczny, każąc nam przemaszerować przed nimi.

Druga ucieczka była pojedyncza. Jednak po sześciu godzinach apelu przeprowadzono uciekiniera z tablicą na piersi: "Ich bin wieder da" - a następnie pobitego nieludzko przewieziono go do S.K. /karna kompania/ do Gross-Rosen. Numerów ani nazwisk tych ludzi nie pamiętam.

Z osób, które były na stanowiskach obozowych, miano więźnia politycznego oraz godnego Polaka przypisuję koledze Franciszkowi Abramowiczowi, który z sercem i "pajdką" chleba wychodził zawsze do najbiedniejszych, a w miarę swoich możliwości jako jeden z pierwszych więźniów tego obozu umożliwiał osobom starszym i słabszym fizycznie otrzymanie lepszej pracy.

Drugim prawdziwym ojcem był kantyniarz obozowy kol. Bolesław / Drabek/, który bez względu na narodowość więźnia udzielał zawsze pomocy przy rozdawaniu chleba, kartofli, zup i innych artykułów spożywczych.

W czasie ewakuacji wydał wielu więźniom tytoń, papierosy, chleb z kasztanowej mąki oraz wszystko co posiadał w kantynie.

Ewakuacja komanda Dyhernfurth II rozpoczęła się 23 stycznia 1945 roku o godzinie 7,30. Po dwóch dniach pieszego marszu przybyliśmy do Gross-Rosen, gdzie umieszczono nas w nowym obozie.

Racje żywnościowe zostały zmniejszone. Chleb, który w obozie dzielono normalnie na 6 więźniów, tu dzielono na 12-tu. Do chleba nie było żadnego dodatku. Drugi posiłek w ciągu dnia otrzymywaliśmy jako "zupę". Była to często nieprzeżetowana woda, niedosolona, z kilkoma plasterkami marchwi i niedogotowanymi kawałeczkami brukwi. Otrzymywaliśmy ten posiłek o różnych porach, w zależności od tego jak szybko rozdano jedzenie gotowane w tych kotłach dla obozu głównego. Pamiętam, że kilkakrotnie posiłek otrzymywaliśmy około północy. Po posiłki musieliśmy chodzić, czekając zawsze godzinami przed kuchnią na swoją kolejkę. Przy kuchni dyżurowali kryminaliści z obozu centralnego, którzy żywali się bezpodstawnym biciem czekających na pobranie posiłków. Byłem kiedyś świadkiem, jak wyciągnęli stojącego za mną kolegę, zaczęli go bić, wykrzykując, że kradł marchew z kopca.

Po kilkunastu dniach sformowano transport do "Dory". Transport liczył około 5 tysięcy więźniów. Po 3 dobach jazdy pociągiem, w obozie "Dora" z wagonów wydobyto około 1.500 osób zmarłych. Pozostali, ostatekami sił dowiekli się do obozowej łaźni, przy czym wielu trzymało się pod rękę.

Tu odczuliśmy życzliwość kolegów, którzy przebywali w tym obozie. Ostrzegli nas, że za parę godzin otrzymamy gęste i tłuste jedzenie i tyle ile kto będzie mógł zjeść. Uprzedzaliśmy, abyśmy byli ostrożni, ponieważ jest to celowa taktyka niemiecka, która prowadzi wygłodzonych do śmierci.

Wielu więźniów, którzy wbrew ostrzeżeniom najedli się za bardzo na tak wygłodzone żołądki, zginęło w cierpieniach na skutek skrętu kiszek.

W "Dorze" byłem około trzech tygodni na bloku 148, a następ-

nie wybrano mnie na transport do Rotleberode, gdzie pracowałem w sztolni. Następnie, w pierwszej dekadzie kwietnia 1945 roku rozpoczęła się ostatnia ewakuacja. Czas ten był najcięższym przeżyciem w moim okresie pobytu w obozie. Pędzono nas bocznymi drogami, raz w jednym, to znów w drugim kierunku. Zmęczeni drogą koledzy odchodzili z szeregów, by choć chwilę odpocząć. Ginęli oni od kul SS-manów, którzy ostrzelali także tych, którzy próbowali zerwać garść trawy, by oszukać głód. Gnano nas w stronę Hamburga.

Cztery kilometry za Schwerinem utraciłem całkowicie siły. W oczach zrobiło mi się ciemno, traciłem wzrok. Zacząłem żegnać się z kolegami, prosząc, by o ile przeżyją, dali znać rodzinie, że tutaj zostałem zastrzelony. Zszedłem wraz z grupą około dwudziestu osób do rowu, obok drogi, gdzie czekałem na śmierć. Tymczasem - jak się okazało - uratowała nas grupa Czerwonego Krzyża, która umieściła nas w wojskowym szpitalu polowym, opuszczonym przez Niemców. Tutaj 30 kwietnia współprytomny z wyczerpania zobaczyłem pierwszego żołnierza Armii Czerwonej, który oznajmił mi, że jestem wolny i mogę wracać do domu. Na razie było to jednak niemożliwe ze względu na mój stan zdrowia, kompletne wyczerpanie i zmuzułmanienie. Ważyłem wówczas zaledwie 38 kg

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3 3.



Budynki mieszkalne więźniów, a przed nimi podwyższony teren - to dawny plac apelowy.
foto. Bolesław Hsarewicz

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.3.